

„Nie jest rzeczą naturalną chcieć – albo inaczej: należałoby chcieć tylko w takim stopniu, żeby można było żyć.” Gdyby tylko ludzie zdecydowali się ograniczyć swoje potrzeby do tego, co niezbędne, cała ta imponująca, błyszcząca, kusząca otoczka (rzeczywistość chyba albo może jednak jakaś nierzeczywistość) runęłaby od razu. Pewnie zniknęłyby wszystkie galerie, reklamy... Gdyby udało nam się uwolnić od swoich „wymagowanych”, „wygenerowanych” pragnień, mielibyśmy szansę być wolni. Teraz tylko zdaje nam się, że jesteśmy wolni, zdaje nam się, że wszystkie wyanalizki pozwalają nam na większą swobodę, dają więcej wolności.

O słodka naiwności! Muszę pamiętać, żeby zabrać ze sobą telefon komórkowy, bo jeżeli nie będę odbierać, mama będzie się denerwować. Wcześniej, kiedy nie było telefonów komórkowych i nie mogła zadzwonić w dowolnym momencie, mniej się denerwowała. Do szafu doprowadza mnie pamiętanie dziesiątków hasła do dziesiątków wszelkich możliwych kont internetowych i innych, ilość plastikowych kart w portfelu mnie przeraża...

Gdyby tak uciec gdzieś na moment... Ostatnio znalazłam nawet miejsce, gdzie nie można było mnie dorwać telefonem komórkowym. To było koło Gawrońca, uroczej miejscowości na Pojezierzu Drawskim. Moją rozmówcę oczywiście rozwścieczyło, że zniknął zasięg, a... sprawa wcale nie była sprawą niecierpiącą zwłoki.

Szukałam ciszy, miejsca, żeby zastanowić się nad tematem tego eseju. KAWIARNIA, tak kawiarnia będzie dobrym miejscem, pomyślałam. Wiem, że otworzyli nową w bibliotece niedawno. Miałam 1,5 godziny wolnego czasu, skończyłam zajęcia na uczelni, jestem na miejscu, zajrzę, pomyślałam. Ochroniarz niestety mnie cofnął, nie można wchodzić z torebką. Niestety nie miałam monety dwuzłotowej, żeby ową przeszkodę (torebkę!) zostawić w szafce, zrezygnowałam nie bez zdenerwowania. Wyszłam, postanowiłam poszukać innej kawiarni w okolicy. Pamiętam, że mam 1,5 godziny, muszę przecież zdążyć do pracy jeszcze tego popołudnia. Jedyna kawiarnia, o jakiej mi wiadomo znajduje się w pobliskim centrum handlowym. Jakże bardzo chciałam znaleźć się w kawiarni w stylu wiedeńskim. Dużo naczytałam się o tych dawnych kawiarniach, gdzie spotykali się pisarze, ale i też zwykli ludzie, żeby poczytać prasę, popracować, mogli siedzieć tam godzinami. Ja miałam

1,5 godziny i... Krzeselka ze stolikami ustawione na holu pulsującego, wzburzonego centrum handlowego. Kawiarnia – wtopiona w resztę budynku, trudno wytyczyć jej powierzchnię, zlewa się z resztą. Jakby zdawała się zapraszać słowami „Jestem dla takich spieszących się jak wy. Możecie ‘przejszć przez mnie’ idąc holem i „chwycić” kubek kawy w papierowym kubeczku”. Obserwuję ludzi robiących zakupy, chodzących od sklepu do sklepu, słyszę szum źródła... Jakże bym chciała, niestety to tylko jakieś pokraczne fontanienki, zagłusza go szum urządzeń klimatyzacyjnych, lodówka z lodami warkocze, dzieci poplakuja, muzyki słyszanej gdzieś w tle nie mogę rozpoznać, jest zbyt głośno. Ledwo udaje mi się zbierać myśli, kawa już nie pomaga na ból głowy i zmęczenie. Piszę i zastanawiam się, dlaczego ja tu w ogóle jestem. Akurat tu? Przecież nienawidzę centrów handlowych. Co mnie zmusza? Podjęłam suwerenną decyzję, poszłam tam... bo nie było innej w pobliżu, a ja przecież spieszyłam się do pracy i żeby tam funkcjonować przez kolejne 8 godzin potrzebowałam kawy, więc szybko „chwyciłam” tę w papierowym kubeczku. To nie jest wolność, to jest kompromis. Przecież wcale nie chciałam zasilać kasy tej sieciowej „niby kawiarni”... A może nawet nie można nazwać tego kompromisem, ale niewola, dyktaturą „sićcówek” dostępnych za zwyczaj w najatrakcyjniejszych lokalizacjach. Nawet jeżeli nie chcesz, to z braku czasu i z aktualnej potrzeby skorzystasz z ich usług. Bo szybko.

Miasto wyciągnęło już nawet swoje macki po wieś. Kiedyś można było jeszcze, zdaje mi się, poczuć się tam wolnym. Wychowałam się na wsi, pamiętam polską wieś sprzed dwudziestu lat, tam naprawdę byli jeszcze rolnicy! Pamiętam przestrzeń, pamiętam las, łąki, jezioro, ludzi, którzy byli cały czas w domu i bez większego pośpiechu uprawiali swoje pola. Pamiętam, że ludzie się spotykali, chętnie chodzili na dożynki, starsze panie zbierały się, żeby odśpiewywać pod figurami pieśni majowe, ludzie pożyczali sobie narzędzia, pomagali w pracy, baby przebierały ziemniaki jesienią, chłopcy okopywali kopce, żeby ziemniaki przechować przez zimę, dzieci zbierały się na podwórkach albo na drogach niepokrytych jeszcze wtedy asfaltem, żeby grać w piłkę, budowały domki na drzewach, każdy wyjazd do pobliskiego miasta był traktowany prawie jak święto, planowało się go z wyprzedzeniem. Pamiętam namioty u dziadków w sadzie, który

wychodził nad jezioro. Latem zjeżdżała się tam rodzina, nawet dalsza. Pływaliśmy łódkami, pontonami, łowiliśmy ryby, robiliśmy ognisko i piekliśmy kiełbaski, zawsze było dużo ludzi, dużo dzieci i dużo dobrej zabawy. Myślę tu o samym początku lat dwudziętych XX wieku. Potem, gdy modne stały się wyjazdy za granicę na urlop, już nie przyjeżdżali. Co się potem z nimi działo, nie wiem, nie utrzymujemy kontaktu. Sporadycznie docierają tylko jakieś wieści. Nie wiem jak teraz wyglądają dzieci, dalekie kuzynostwo, z którymi spędzałam całe wakacje. Nikt nie ma na to czasu, bo zajęty jest swoimi sprawami.

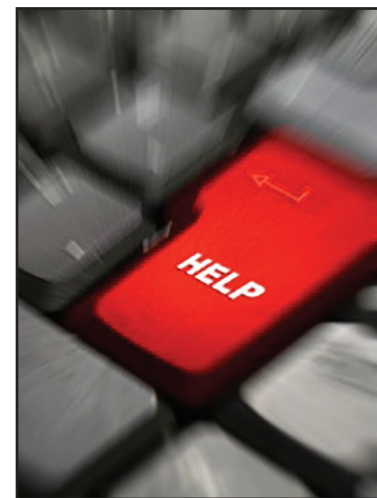
A jak wygląda teraz ta wieś? Oczywiście poszła z postępem! Mówią, że to dobrze, wieś się modernizuje, cały proces wartościowany jest pozytywnie. Jednak przestrzeń jest jaby mniej. W miejscu gdzie stały kopce ziemniaków i buraków stoją teraz piękne nowe domy. Ulice pokryte są asfaltem, a dzieci nie grają już w piłkę, palanta, siatkówkę, ani dwa ognie. Rzadko je widuję, pewnie siedzą w domach przed komputerami, nie bawią się już w berka, ani w chowanego. Wszystkie te drogi oświetlono dość obficie, dlatego rzadko widać rozgwieżdżone niebo. Rodziny nie chodzą już na spacer do lasu w niedzielne popołudnia. Mało też prawdziwych rolników. Większość pracuje w mieście. Wieś powiększyła się przestrzennie, rozbudowała, rolnicy sprzedali działki i sprowadzili się tam ludzie z miasta, pewnie w poszukiwaniu spokoju i... wolności... już jej nie znajdują... Sama mieszkam teraz w mieście i po pewnym czasie dopada mnie takie zmęczenie, taka złość na te zakorkowane ulice, na ciągły hałas, na tempo życia, że pakuję najpotrzebniejsze rzeczy i uciekam na wieś. Dwa dni tam pozwalają naładować akumulatory, jednak tam też już nie ma wolności. Oni też jeżdżą raz w tygodniu na wielkie zakupy do centrów handlowych. Tak, tak jest wygodniej, zresztą nie ma alternatywy. W pobliskim mieście drobny handel, targowiska zanikają, wypierane są przez kolejne nowe galerie. Wielu się cieszy, że im też narzeczcie wybudowali, że postęp do nich przyszedł i spędzają czas wolny na zwiedzaniu tych klimatyzowanych pomieszczeń, mających zapachem, kolorowymi dekoracjami i plakatami plakatami z napisem SALE. A mnie to przeraża, przeraża ta dążność ku jakiejś fatalizmowi...

Nawet łąk, gdzie można było liczyć cumulusowe baranki, ssać żdźbło trawy, słuchać brzęczenia i cykania łąkowych stworzonek, rozmyślać, marzyć,

już nie ma, bo nikt nie hoduje krów. Z punktu widzenia wszechpanującej obecnie racjonalności instrumentalnej rozumnie było zorać łąki. Nie chcę powiedzieć, że jest tam zupełnie jak w mieście, nie, jednak oni są już na tej drodze, drodze jednokierunkowej. Wracając do Pojezierza Drawskiego, bardzo ładne okolice, Drawski Park Krajobrazowy. Ściągają tam ludzie z miasta, kupują działki i budują domy. Przyjeżdżają już w czwartek lub w piątek i zostają do niedzieli, a w poniedziałek są już w pracy w mieście, żeby na luksus posiadania domu na wsi zarobić. Sama byłam tam na zaproszenie takich ludzi. Wzięłam rower i zaczęłam zwiedzać okolice. We wsiach nie ma rolników, nawet jajek kupić nie można. Rolnicy swoje działki i pola wystawili na sprzedaż. Tabliczki z napisem „Na sprzedaż” kłują w oczy. Gospodarstwa zostały przerobione na gospodarstwa agroturystyczne. Ludzie przyjeżdżają do ośrodka nowo wybudowanych szeregowych domków pokrytych strzechą, gdzie jest oczywiście prąd, bieżąca woda i wszystkie dogodności współczesnego świata. A ludzie chętnie przyjeżdżają, aby korzystać z tej imitacji, aby brać udział w tej improwizacji. Stwarzamy pozory, a nawet na wsi nie chcemy wyżyć się miejskiego luksusu. Powstaje jakaś dziwna hybryda. Nasiąknęci życiem miejskim uciekamy na wieś, gdzie – sądzimy – można znaleźć wolność, ale nie chcemy zrezygnować z miejskich przyzwyczajęń. Przysłuchiwałam się kukającej kukulce, a tu nagle... mój błogostan zakłócił odgłos głośnych basowych dźwięków wydobywających się z głośników w pobliskim ośrodku. Młodzież zorganizowała dyskotekę. Tworzy się błędne koło, im więcej mieszczuchów na wsi, tym mniej wsi, a to, czego szukają coraz bardziej się od nich oddala. Obraz przyrody, który „sprzedawany” jest „tym z miasta” jest tylko produktem gospodarki turystycznej i przemysłu turystycznego. Turyści stwarzają pozory naturalności i wychodzą oczekiwaniom „letników” naprzeciw. Przyroda zmienia się w towar. Można ją sfotografować, sfilmować i sprzedać w biurach turystycznych, oglądać w folderach. Trzeba by przyznać sporo racji Elfriede Jelinek, gdy uznała, że „przyroda została zaszlachtowana, przyrządzona i podana z przystawkami”. Ponieważ wieś kojarzona jest z wolnością, ludzie tam jej szukają, ale niestety nie potrafią wyżyć się swoich przyzwyczajęń, co sprawia, że okupują te obszary i narzucają swój styl życia, jak niegdyś konkwistadorzy podbijający Amerykę. Efekt jest taki, że jesteśmy zbieraczami wrażeń, na domiar złego, wrażeń często nieprawdziwych. Kiedy obserwuję puste wiejskie drogi, myślę, że może nie jest jeszcze tak najgorzej. Każdego ranka w drodze do pracy, kiedy w tym samym miejscu utykam w korku, marzę, jak by to było pięknie wyrzucić 60 aut przed nami i zastąpić je jednym autobusem. Ci rozszczęczeni, trąbiący kierowcy byłiby wtedy u celu znacznie szybciej. Jednak nie, człowiekowi wydaje się, że kiedy zawładnie jakąś rzeczą może czuć się jej panem, że jego władza nad nią daje mu wolność. Bzdura, staje się niewolnikiem tej rzeczy, w przypadku samochodu, niewolnikiem zakorkowanej ulicy. Obiecując, powiedziałam dziś do kogoś, że jak już będziemy starzy i nie będziemy musieli pracować albo, kiedy już zaro-

bimy tyle pieniędzy, że nie będziemy musieli pracować, przeniesiemy się na jakieś odludzie, z daleka od tego wszystkiego. Obiecuję, zgadzam się z tobą, powiedziałam, a warkot aut mknących Jąskową Doliną (kiedyś zapewne cichą) zagłuszał jego słowa.

Tylko dlaczego teraz nie mamy na to odwagi? Czy najpierw trzeba faktycznie coś mieć, żeby potem móc po prostu być? Byciu duchowemu trzeba zapewnić fizyczną egzystencję... Taki pragmatyzm. Jak duży jest w nas strach, żeby zerwać z całym systemem, który ludzkość budowała od tak dawna. Zanurzenie w kulturze jest tak głębokie, że powrót do początku jest krokiem desperacji, krzykiem rozpacz, gdy nie można już dłużej wytrzymać. Jednakże wolność jest na wyciągnięcie ręki, jej wybór jest intencjonalny, ale jej dotknięcie skazuje człowieka na samotność, na rezygnację z tego, do czego jest przyzwyczajony od urodzenia, jest buntem przeciwko systemowi. Stajesz się autsajderem. I dlatego obserwuję chyba jednak uciekanie od wolności. Gdy jesteś wolny, musisz decydować za siebie, a w tym skomplikowanym świecie zakazów i nakazów inni decydują za ciebie, a ty jedynie MUSISZ, bądź POWINIENIEŚ i tak jest łatwiej.



Czy jednakże za osiągnięcie pewnego stopnia wolności nie można by uznać osiągnięcia takiego stanu świadomości, kiedy człowiek jest świadomy fatalności, świadomy własnych ograniczeń, przymusu, determinizmu? Na polu własnych zachowań dysponujemy przecież pewnym zakresem indeterminizmu. Mogę próbować nie pozwolić wydrzeć sobie wolności na tyle na ile pozwoli mi to funkcjonować w miarę normalnie w tym zniewolonym świecie. Mogę próbować nie dać sobie wmówić, że potrzebuję kolejną kartę klienta, najnowszy tablet, wakacje zagraniczne organizowane przez biuro podróży. Ta świadomość implikuje dystans, subiektywne poczucie wyższości... w efekcie ostatecznie i tak namiastkę wolności. Moja wolność jest „uświadomioną koniecznością”. Czy sama świadomość konieczności jest wolnością? Mogłam wtedy porozmawiać z tą koleżanką, ale uciekły mi pociąg i spóźniłabym się do pracy, co ostatecznie mogłoby mieć pewne konsekwencje, więc pobiegłam dalej. Ta moja wolność budowana jest na kompromisie, na fundamencie pewnych reguł życia społecznego. Jest pewną wypadkową, tego, co chcę, tego, co muszę i tego, co mi aktualnie wolno, i na co mogę sobie pozwolić. Snobistycznie i naiwnie byłoby myśleć: wiem, że jestem ograniczona, ale właśnie ze względu na tę świadomość jestem wolna. Na samotność i rezygnację z kultury mnie nie stać.

